

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Profesor Milczek

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Profesor Milczek

Mało komu znana postać. Mój Boże! nawet nie bardzo stare rzeczy tak się łatwo zapominają; półroczny grób to już często zagadka, a z wielu żyjących po pięćdziesięciu latach garstka popiołu i *czcze* nazwisko, jeżeli i ono zostanie. Tak się to pono stało z tym pocziwym profesorem, Milczkiem. Nie było to jego właściwe nazwisko, ochrzcili go niem studenci. Myśmy go na ławach uniwersyteckich zwali panem Damianem Palcewiczem. Już wówczas, gdyśmy z nim razem na lekcje Capellego i Münicha chodzili, Palcewicz potajemnie brał się do pióra, ale to była tajemnica stanu, sekret, który przypadkiem tylko podchwycić ktoś zdołał. Wstydział się tego i zapierał. Byłem z nim bliżej, więc po długich naleganiach przyznał mi się wreszcie, że rzeczywiście pisać zamyśla...

— Bo to, widzisz — rzekł mi — oprócz pana Joachima¹ i kilku, co drabują po archiwach, do historii niema nikogo. A to, co się u nas historią zowie, czy nią jest wistocie? Materyał to surowy, w który nikt ożywczego nie tchnął ducha. Więc myślę pocichu... naprzód zbierać tego materiału jak najwięcej, a potem... potem żyć się z nim, wcielić, przetrwać go w sobie i — dopiero historię pisać. A! żebyś wiedział — dodał z zapalem — jak mi się już teraz ta moja księga dziejów wydaje cudownie piękną! Taką ona pewnie nigdy nie będzie, ale o niej marzę, jak o kochance.

Po tem wyznaniu, które skracam wiele, nie mówiliśmy już z nim więcej; losy nas wkrótce rozdzieliły, ja wyjechałem na wieś, on z oczów mi zniknął. W lat kilka, długich i obfitych w wypadki... przejeżdżając przez S.... dowiedziałem się przypadkiem, że Damian jest profesorem historii przy tamtejszem gimnazjum. Jakże nie wstąpić, nie pozdrowić dawnego towarzysza, nie ścisnąć dłoni, nie przypomnieć ciężkich lat próby, razem przebytych! Pobiegłem do niego, zajmował parę pokojów w gmachu szkolnym... pełnym ksiąg i papierów. Uściskaliśmy się ze łzami.

— Cóż porabiasz? co się z twoją historią stało? — zapytałem po pierwszych przywitaniach — porzuciłeś ją?

— A! uchowaj Boże! — zawołał — głębiej w niej siedzę zatopiony, niż kiedykolwiek. Wybrałem cudowną epokę, zakochałem się w niej, pracuję nad nią i najrozkoszniejsze dni życia mojego jej winienem. Wystaw sobie to odgrzebywanie z pod popiołów zagrzebanego w nich życia i skarbów. Co chwila odkrycie nowe, błysk... cudo! Wstają mi z martwych postacie... widzę je wyraźniej codzień, oblicza ich się rumienią, usta przemawiają... Uczę się rozumieć ich mowę... Epoką tą jest panowanie Zygmunta Augusta. Wystaw sobie tło tego XVI wieku: odrodzenie sztuki, ruch umysłów, obudzenie się chrześcijaństwa, w skostniałych zamrożonego pętach... to tło europejskiej kultury, na którym występują takie charaktery, jak Zygmunt Stary, Bona, Kmitowie, Orzechowscy... nowatorowie religijni, takie kobiety, jak Barbara i Jagiellonki... taki dwór!!! Co to za obraz! a jak obfity materyał!...

— Już go zebrał? — spytałem.

— A! nie! jeszcze tego nie mogę powiedzieć, jeszcze mi tego nie dosyć, jeszcze tysiące tomów zostaje do przepatrzenia, do mozolnego zbadania, ale jestem na drodze... stosy notat leżą...

— A więc praca pociągnie się jeszcze długo?

— Czyż ja wiem? mnie przy niej lata upływają, jak błyskawice... Rozpocząłem już redakcję kilku rozdziałów i musiałem porzucić, przekonawszy się, że o prawodawstwie,

¹pan Joachim — t. j. Lelewela. [przypis autorski]

które tu ważny moment stanowi, nie jestem przygotowany mówić kompetentnie. Studyuję prawo i prawodawstwo współczesne europejskie.

Mówiliśmy potem o czym innym. Wieczorem profesor pokazywał mi zapisane księgi całe... studia cenne, ale ułamkowe. Cieszyliśmy się z nim razem i, życząc mu powodzenia, rozstałem się z nim nazajutrz rano...

Było to, jeśli się nie mylę, około 1839 roku. Przeniosłem się na Wołyń, i profesor Damian ze swoją historią zszedł mi z oczów... Znowu lat kilka zbiegło szybko... mnie przy nawpół gospodarskiej, wpół literackiej pracy... a światu na przerabianiu pojęć, idei i historii współczesnej coraz nowym krojem...

Jednego ranka postrzegłem pocztową bryczkę, zajeżdżającą przed ganek; jakież było zdziwienie moje, gdy, wyszedłszy, poznał (nie odrazu) w bladym i zmęczonej twarzy podróżnym dawnego towarzysza...

— Cóż ty tu robisz i jaki szczęśliwy traf? — zawołałem, prowadząc go do swojej przybudówki, dla książek moich skłeconej. Nierychło mogłem jednak dopytać się u Damiana, że jechał... korzystając z wakacy, do biblioteki, w której pewne studia spodziewał się dokonać.

— A cóż się z historią dzieje? — podchwyciłem.

— A! z historią! — rzekł jakby zawstydzony — smutna to ta historia moja... Wystaw sobie, jużem był w połowie pracy... ale się w sam czas opatrzył, że się wiele pojęć i warunków zmieniło... Urosły wymagania. Muszę myśleć nad filozoficznym poglądem na epokę, w harmonii będącym z dzisiejszemi wymaganiami nauki... inaczej dzieło będzie trącić zadawniałemi teoryami... I — dodał — historię teraz inaczej piszą, więcej muszę zbadać literaturę, obyczaje, kulturę narodu... to nieodzowne... To, com zrobił, było jakby rysunkiem, kolorytu mu braknie, koloryt zdobyć muszę...

Mówiliśmy o tem długo. Damian westchnął.

— Jest to praca Penelopy. Co dziś się zrobi, jutro przerabiać potrzeba, przeinaczać... wypełniać, wczorajszy trud łamać. To coś jak ten pałac Stanisława Augusta na Ujazdowie, co miliony kosztował, co roku mury w nim łamano, i w końcu król zmuszony był miastu oddać go na koszary.

Zal mi było biedaka; zawczasu siwieć poczynął. Pomimo lat straconych, on sam zachował zapał dawny dla swego ideału historii.

— A! te ofiary — mówił — to nic, bylebym dożył tego, ażebym zobaczył dokończoną pracę moją i taką, taką, jaką ja ją w duszy mej noszę! Pełną, wielką, piękną, cenną dla uczonych, zrozumiałą dla prostaczków, ponętną, jak powieść, rozgrzewającą, jak poezya... prawdziwą, jak karta z życia.

Dwa dni zatrzymałem u siebie profesora, tem w końcu, żem mu wynalazł parę niedrukowanych ustaw Zygmunta Augusta, tyjących się zarządu ekonomii i lasów królewskich. Nareszcie pożegnaliśmy się rozrzewnieni, w proggu, mówiąc cicho: — kto wie, czy się jeszcze kiedy w życiu spotkamy!

Ale — dobre to przysłowie — góra z górą... wypadła podróż niespodziana na Litwę, i znalazłem się znowu jednego wieczora w S... Na myśl mi przyszedł Damian i jego historia. Student szedł ulicą — zapytałem go o profesora. Uśmiechnął się.

— A! pan pyta o profesora Milczka?

— Jakto? dlaczego Milczka?

— Bo my go tu tak nazywamy, i wszyscy go tak nazywają...

— Rozumiem — rzekłem, uśmiechając się — profesor Damian mówić nie lubi!

— Tak, i to wielka szkoda — dodał cicho młody chłopak — bo mógłby wiele rzeczy daleko rozumniejszych powiedzieć od tych, co słów nie żałują. Ale on — cały w sobie. Skromniejszego w świecie niema... Przestrasza go każdy, co się głośno i śmiało odezwie ze zdaniem, już usuwa się natychmiast i milczy... dlategośmy go Milczkiem nazwali.

Mieszkał jeszcze na dawnej swej kwaterze; w ciągu tych kilku lat ożenił się był, a młoda żona i dzieci — jego i książki zepchnęły do jednego ciasnego pokoiku. Ubożej to jeszcze wyglądało, niż kiedykolwiek... ale Damian był, choć szpakowaciał, tyle gorąco serdeczny, jak dawniej. Wśród stosów książek, które literalnie od góry do dołu izdebkę wyścielały i podłogę, i ledwie na dwa z biedy krzeselka zostawiały miejsce... siedliśmy znowu gawędzić. Płacz dzieci dochodził nas z drugiego pokoju i piskliwy głos żony.

— Ożeniłem się, jak widzisz — rzekł — jestem bardzo szczęśliwy... Dzieci takie ładne i żona taka dobra, a choć bieda wielka... ale czyż to tam człowiekowi wiele potrzeba!

— No, a historia, poszła w kąt? — zapytałem.

— A! uchowaj Boże! cóż ty myślisz! ideał mojego życia! jabym ją miał porzucić?

— Więc powinnaby być skończona — odezwałem się — dwadzieścia lat pracujesz nad nią, spory to czasu kawał.

— Dwadzieścia lat! ale cóż to jest wobec takiego zadania? — zawołał, zapalając się, Damian. — Wiesz-że ty, co to jest historia epoki, taka, jaką ja ją pojmuję?... Kraj nie był przecież bez związku z życiem Europy... tętniało w jego życiu, co się odegrywało gdzieindziej, historię wszystkich państw zbadać należy, aby zrozumieć jego położenie i stosunki... Wystaw sobie... historia Niemiec, Austrii, Mołdawii i Węgier, wszystkich mocarstw sąsiednich... Potem zmiarkowałem, że to każda najmniejsza postać własna, występująca na scenę, musi być scharakteryzowana dobitnie, więc historia rodzin... biografie, wizerunki... Kto pracuje nad takim relikwiarzem z mozaiki, musi sztuczki dobierać mozolnie.

— To prawda — rzekłem — ale kiedyż temu koniec będzie?

— A i kiedyż? — westchnął. — Koniec być musi, zbliżam się do niego... wstęp napisałem. Redagowałem go sześć razy, obfitość myśli zrobiła go za rozległym, musiałem skrócić... chociaż wydał mi się zbyt obcięty, rozciągnąłem go nieco... dodałem przypiski objaśniające. Za rok przeczytałem i postrzegłem, że do niczego. Nie było artystycznej całości, miało to postać aglomeratu, całość musi organicznie wyglądać... Historyk potrzebuje, jak poeta, chwili natchnienia, a tu mi dzieci płaczą... Wystaw sobie, w chwili, gdy m kreślił z zapalem tę scenę, gdy Zygmunt August przyjeżdża z Wilna, a Bona wychodzi przy trumnie męża, klękając u nóg syna, jako króla... Stefanek mi upadł i czoło sobie rozkrwawił. Rzuciłem pióro... pobiegłem go utulić, jużem potem nigdy nie mógł wątku przerwanego pochwycić. Ale to mniejsza — dodał — szczęśliwa chwila się znajdzie... tymczasem coraz nowy materiał odkrywają badacze... nie mogę przecie powiedzieć jak Vertot: *Mon siège est fait*², muszę je wcielać do mojej pracy, a tu mi często lada głupia data całe moje pojęcie i tłumaczenie wypadków obala! Snuję na nowo!

— Kochany profesorze... uwielbiam twą wytrwałość, lecz pozwól sobie powiedzieć: gdybyś nie chciał koniecznie skończyć arcydzieła, jużbyśmy mieli choć dzieło, tak zaś nie mamy nic.

— Poczekajcie! — przerwał Damian. — Jużciż niepodobna, abym wam dał taki surowy i niedokładny zbiorek a łataninę, jak pocziwy, zacny i kochany Gołębiowski. Ja — mówił, zapalając się — ja chcę stworzyć obraz skończony epoki, nie epizod bez związku, wyrwany i niezrozumiały... chcę, by moja historia odbijała przeszłość, której jest skutkiem, przyszłość, której była nasieniem... Chcę być historykiem, nie kompilatorem i kronikarzem... My nie mamy dziejopisa w całym znaczeniu tego wyrazu, a ja nim być muszę...

— A! mój drogi — zawołałem, ściskając go — bądź nim! ale prędeż, bo ja się nie doczekam twego Zygmunta Augusta, a bardzo mi pilno.

— No, między nami mówiąc — począł Milczek — już teraz mi niewiele zostaje... Notaty bardzo obfite w porządku, poglądy główne spisane... małych kilka luk... a potem wezmę się do redakcji, będąc już panem przedmiotu... Parę podróży odbyć jeszcze muszę... Do Petersburga koniecznie. Rękopisów, metryk i biblioteki cesarskiej nic nie zastąpi. W metrykach są nieocenione szczegóły, trzeba je tylko umieć dobywać ze stosu słów i powodzi formuł... samą esencję.

Cały wieczór przegawędziliśmy, ale już nie w pokoiku profesora, bo pani przysłała niańkę przestrzedz nas, że mówimy zbyt głośno, a dzieci obok zasnąć nie mogą. Wyszliśmy więc w starą kasztanową ulicę i włóczyliśmy się po niej do północy.

Rano musiałem jechać dalej; a po kilku leciech zmieniłem pobyt i znalazłem się nad brzegami Wisły. W parę miesięcy po zagospodarowaniu się mocno mnie zdziwił jeden z kolegów wileńskich, gdy, wspominając o dawnych towarzyszach, nadmienił, że Milczek jest w Warszawie.

— Cóż on tu robi?

²*Mon siège est fait* (franc.) — Moje siedzenie jest ukończone (t. j. zdobyłem podstawę). [przypis autorski]

— Emeryturę dostał, a że mu tu pracować wygodniej, przeniósł się tu z rodziną.

Nazajutrz byłem już u drzwi poczciwego Damiana, którego znalazłem na odległej uliczce, w małym domku zainstalowanego na tyłach w bardzo niepozornym mieszkaniu. Jedna izba, wydzielona przez profesorową na jego osobisty użytek, przedstawiała ten sam obraz chaotyczny, co ów pokój w S... Na wysiedzianej sofce, w szlafroku... łysy i siwy, poczciwy Damian siedział, zasłonięty foliantem, w którym, dla krótkiego wzroku, z nosem utonął. Posłyszawszy chód, nie odrywając się od czytania, spytał, kto tam? Zbliżyłem się, nierychło mnie poznał, i to dopiero po głosie. Oczywiście mu bardzo źle służyły.

— Wiesz — odezwał się — ja już dawno zbierałem się być u ciebie... to nawet na Mokotowską niedaleko, ale taki teraz jestem zajęty.

— No cóż? zawsze Zygmunt August? — zapytałem.

— A cóżby innego być mogło? — odparł powoli — zbliżam się do końca. Ale wiesz, powiem ci, odczytując teraz, com sobie notował i ponakreślał przed laty dwudziestu, znajduję to tak gorączkowym, impetycznym, zbyt śmiałym, że, do kata, na nowo materiały muszę badać, aby skontrolować te sangwiniczne pomysły... Tak się historia pisać nie powinna. Właściwie, ostygłszy teraz, dopiero się czuję usposobionym do zrobienia czegoś godnego tego imienia. Kolorytowi zawiele poświęciłem, wpadłem w anegdotyczność drobnostkową, zdawało mi się, że to lepiej wiek odmaluje, a te fraszki wielkie linie kompozycji historycznej przerywają i zasłaniają. Muszę wszystko przerabiać... Tak, tak — *ars longa, vita brevis*³. Jednakże, kochany mój — kończył — tej historii winienem, że mi życie przeleciało, jak mgnienie oka... dzieci powyrastały, jam się zestarzał i ani się spostrzegłem.

— Ale mnie bo idzie o historię — przerwałem.

— A i mnie o nic więcej nie chodzi. Mam ją całą w głowie! tu... — wskazał na piersi — czuję ją, widzę i czytam, cieszę się... i bądź co bądź, muszę to sobie przyznać, będzie opracowana sumiennie, wielostronnie. Pracując nad nią, nauczyłem się sam bardzo wiele, nieopłacone rozkosze winienem tej szczęśliwej myśli poświęcenia się tak pięknej epoce dziejowej.

— Mam tedy nadzieję — podchwyciłem — że ją wkrótce ujrzemy, i pozwolisz mi, że dziś zapowiedzi ogłoszę w gazecie.

— A! zlituj się! tego nie rób, człowiecze, zgubiłbyś mnie! Żadnych obietnic... Czekam tylko, żeby Tomicyany skończył wydawać Działyński, bo i stamtąd jeszcze jakieś mi spłynie światelko, potem siadam do redakcji ostatecznej... a że mam wszystko w głowie gotowe, piorunem to pójdzie... Wiesz — dodał — te ostatnie chwile, ten zgon, ten ból serca ostatniego z Jagiellonów, schodzącego bezpotomnie i szukającego lekarstwa w *sokolach*... te Giżanki i różne niewieście profile, ta Anna siostra, starzejąca nad herbarzem i lekarstwami dla ubogich... ta tłuszcza chciwych dworzan dokoła, ten rabunek z pod trumny... co to za obrazy!... Daj to Macaulayowi, zobaczysz... co to z tem zrobi. Ale ja — dodał, zapalając się, stary — ja będę tym Macaulayem dla Augusta...

— Kochany profesorze, aż mi ślinka do ust napływa, na Boga, nie dajże nam na to czekać...

— Ale powiadam ci, już się biorę... niech tylko Tomicyany wyjdą, rzecz gotowa, nic nie braknie. Aneksa kazałem przepisywać, jest tego nie więcej, jak sześćset arkuszy, bo trzeba być dokładnym i czytelnikowi postawić przed oczyma dokumenta, aby mógł z nich sobie wyrobić sąd własny. W ekonomice mej historii — mówił dalej — zachodzą jeszcze małe trudności... Są wypadki, które, ażeby w całości przedstawić, muszę ująć w jeden rozdział, nie pilnując ściśle chronologii, to mnie martwi... czytelnik się będzie bałamucił. Do niektórych przedmiotów wracać muszę i będę one powtarzał... A tu! tu znowu forma! Bo przyznasz, że dzieło najznakomiciej opracowane, gdy formy nie ma, to stos kamieni tylko. Trzeba być artystą i architektem, bez tego nic! prawda?...

Milczałem, on ciągnął dalej:

— Zawczasu też należy przewidzieć, co powie nasza krytyka! Jeśli zbyt literacką szatą odzieję moją historię, powiedzą, że romans stworzyłem, choć słowa nie zmyślę, jeśli napiszę sucho, nikt nie przeczyta. Dla jednych to będzie za mądre, dla drugich za lekkie... koniec końców Bartoszewicz skonkluduje, że materiały nie są jeszcze dosyć przedwstęp-

³*ars longa, vita brevis* (łac.) — Sztuka długa, życie krótkie. [przypis autorski]

nie ociosane i że zawczas budować. Gdy pomyślę, kto trud lat trzydziestu sędzić będzie... w gazetach, w pismach, kto go oceni, kto go przeczyta z uwagą, ręce mi opadają. Oto student który niemieckiej akademii, odkrywając datę jedną omyloną w druku, pozwie mnie o niedokładność... a felietonista z treści rozdziałów potępi plan i... jeśli pierwsza krytyka będzie choć głupia, a śmiała i ostra, dzieło przepadło; wrażenie jej zostanie. Przytem i imię nieznane, a tu powag tyle!...

Spuścił głowę.

— Ale pomimo to... kończyć trzeba.

Po tej rozmowie w rok, szedłem za trumną dawnego towarzysza na Powązki, myśląc sobie po drodze, co też z tą lat z górą trzydzięci pieszczoną historią się stało.

Trzeba było dać czcigodnej wdowie ochłonąć z żalu. W kilka więc dopiero miesięcy zapukałem do drzwi jej nieśmiało.

Zajmowała to samo mieszkanie. Pokój Milczka był zamknięty, przyjęła mnie w małym bawialnym, zagraconym i biednym, krajano dla dzieci sukienki żałobne, zacząłem od ubolewania i kondolencyi.

— A! tak — odezwała się z płaczem — pocziwy mój Damian odpoczywa, dobry, zacny był człowiek. Ale, panie, jakże on nas zostawił! Dla tej swojej nieszczęsnej historii poświęcił wszystko.

— Cóż się z nią stało?

— Książki Żydom sprzedawałem — odezwała się profesorowa — bo to były rupiecie niewiele warte. Tylko tak obalamucony człowiek, jak ten biedny Damian, mógł do nich jakąś przywiązywać cenę.

— A rękopisma? — dodałem z przestachem.

— W czasie pogrzebu jeszcze część się spaliła — obojętnie odpowiedziała profesorowa — a że mi to śmiecie zawałowało dużo miejsca, więc i resztę rzuciłam do pieca, bom już i patrzeć nie mogła na te papierzyska, dla których my padliśmy ofiarą.

Taki był koniec pracy mojego profesora. Zmówcie zaś wieczne odpoczywanie! W jednym z nim grobie i Zygmunt August spoczywa.

Drezno, 15 sierpnia 1872 r.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/profesor-milczek/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Profesor Milczek, Rejent Wątróbka, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Phil Roeder@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0453-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).